

Szymon W.

Nazywam się Szymon

Nazywam się Szymon i jestem członkiem kolejnego pokolenia rodziny Wilkowskich. Dziś mieszkam w Lubinie, ale moi przodkowie przybyli tu z odległych Kresów Wschodnich. Kiedyś te tereny należały do Polski. Dzisiaj są ukraińskie. Mój dziadek Wilkowski nie żyje, nigdy go nie poznałem. Wywiad przeprowadziłem z moją babcią Heleną, która tak jak ja mieszka w Lubinie.

Z informacji przekazanych przez moją babcię Helenę Wilkowską dowiedziałem się, że cała rodzina ze strony dziadka i pradziadka mieszkała we wsi Rodatycze koło Gródka Jagiellońskiego, województwo Lwów. Mój prapradziadek zmarł podczas epidemii tyfusu w 1920r. Zmarła również moja praprababcia. Została moja prababcia Teresa i jej siostry Anna i Aniela. Moi zmarli prapradziadkowie zostawili dom kryty słomą, pole i mały inwentarz. Moja prababcia Teresa Kolarz ze Zdobyłków wyszła za mąż 31.01.1921r. za pradziadka Kacpra Zgólkę. Wszyscy utrzymywali się z niedużego gospodarstwa rolnego. Aby polepszyć byt życia pradziadek wyjechał najpierw do Niemiec, potem do Francji, gdzie pracował 3 lata na 300 hektarowym folwarku.

Następnie wraz z bratem Józefem i bratową Katarzyną wyjechali do Stanów Zjednoczonych. Przez dwa lata ciężko pracował w rzeźni oraz w kopalni. Ponieważ uległ poważnemu wypadkowi w kopalni, a zdrowie nie pozwoliło mu na dalszą pracę, wrócił do Rodatycz. W 1939 roku wybuchła II wojna światowa. W Rodatyczach cała rodzina ze strony babci przeżyła koszmar wojenny. Uciekali przed Ukraińcami, Niemcami i Rosjanami. Wszyscy mordowali, okradali, grabili co się dało. Panował wielki głód, strach i ucieczki do lasu i w pola. W 1942 r. po zbombardowaniu Lwowa oddziały niemieckie posuwały się w głąb Rosji. Samoloty niemieckie zrzucały bomby również tam gdzie mieszkali moi pradziadkowie. Chowali się oni przed mordercami oraz samolotami, które zrzucały bomby. Panował wielki głód, strach. Bardzo dużo osób zginęło w obozach na Sybirze. Wojna miała się ku końcowi. Ostatecznie w kwietniu 1946 roku z Rodatycz wyjechali wszyscy z rodziny babci. Aby ratować swoje życie wsiadali do bydłowych wagonów i opuszczali rodzinne strony. Komu nie udało się uciec do wagonów, został zamordowany przez Ukraińców.

W bydłych wagonach nie było dachów ani okien. Było bardzo zimno. Jechali 3 tygodnie głodni, zmarznięci i zawszawieni. Nie pozwalano im się umyć. Na postojach pozwalano im w kociołkach ugotować ziemniaki. Chorych i wycieńczonych wyładowali w Strzelcach Opolskich. „W ich nowym domu” zniszczonym od bomb, zamieszkali 10-osobową rodziną w jednym pokoju. Mój pradziadek Kacper z prababcią Teresą mieli 7 córek, wśród nich była moja babcia Helena. Mój pradziadek pracował w tartaku w Strzelcach Opolskich z jedną z córek - Ludwiką. Trzy kolejne córki pracowały w folwarku pod nadzorem rosyjskiego żołnierza, przy zbiorze płodów rolnych. Reszta córek uczęszczała do polskiej szkoły. Ze Strzelca Opolskich wyjechali na Dolny Śląsk i mogli zająć niemieckie budynki.

Rodzina pradziadków w 1948 r. przyjechała do Janiszewic koło niemieckiego Forstu. Dostali dom i 10 hektarów ziemi. Ciężko na niej pracowali, bo nie mieli wtedy maszyn rolniczych. Wszystko obrabiali ręcznie. Dorośli pracowali na gospodarstwie, dzieci uczęszczały do szkoły i pomagały rodzicom. Życie nie było lekkie. Babcia Helena po ukończeniu średniej szkoły w 1956 r. w Złotorzy podjęła pracę w biurze w Brodach Żarskich. Tam poznała mojego dziadka Stanisława. Z zawodu był stolarzem. Pracował w bardzo dobrze wyposażonej stolarni, która później została wystawiona na sprzedaż. Bardzo chciał ją kupić, lecz oszczędności nie wystarczały na jej kupno. W tym czasie zaczął rozwijać się Lubin, dlatego dziadek w 1962 roku przyjechał tutaj za lepszą pracą. Było jej coraz więcej. Miasto zaczęło się rozbudowywać. Ponieważ dziadek był bardzo dobrym stolarzem, szybko znalazł pracę w zakładzie instrumentów muzycznych „DEFIL”. Tam pracował 20 lat. Po krótkim czasie dołączyła do niego babcia, która podjęła pracę w biurze w Urzędzie Miasta, a potem w zakładach mięsnych gdzie pracowała 12 lat. Na polecenie ministerstwa w Warszawie zakład, w którym pracował dziadek został zlikwidowany. Tysiąc osób zostało bez pracy. Dziadek podjął pracę w Państwowej Komunikacji Samochodowej w Lubinie na ulicy Ścinawskiej. Razem odkładali na czynszowe mieszkanie. Urodziło im się siedmiu synów. Był wśród nich mój tata Andrzej. W 1991 roku mój dziadek zmarł na chorobę nowotworową. Babcia w dalszym ciągu żyje i utrzymujemy z nią kontakt do dziś.



Mój tata po ukończeniu szkoły średniej wyjechał do Grecji za pracą. Tam poznał moją mamę Elżbietę Piwowar, która pochodzi z województwa podkarpackiego. Mama również tak jak tata po ukończeniu szkoły średniej wyjechała do Grecji do pracy. Mama opiekowała się małymi dziećmi greckich rodzin. Pracę tę wykonywała przez kilkanaście lat. Tata pracował w zakładzie aluminiowym montując okna i drzwi aluminiowe. W 2000 roku w Atenach pobraли się. Po czterech latach urodziła się moja najstarsza siostra Patrycja. Dwa lata później na świat przyszedłem ja. Najmłodsza moja siostra Ania urodziła się w 2009 roku. Gdy na świat przyszły dzieci mama już nie podejmowała pracy, zajmowała się naszym wychowaniem. W Atenach chodziłem do polskiego przedszkola, a moja starsza siostra uczęszczała do polskiej szkoły. W wolnych chwilach podobnej jak wszystkie dzieci na świecie chodziliśmy na plac zabaw, do parku, a w niedzielę jeździliśmy nad piękne morze. Rodzice nigdy nie chcieli na stałe zostać w Grecji. Kryzys w Grecji przyspieszył podjęcie decyzji o powrocie do Polski. Mama w Grecji była 17 lat, a tata 15 lat. W 2012 roku wróciliśmy do Lubina i mieszkamy do dziś. Rodzice pracują, a my uczymy się w różnych szkołach. Tak wyglądała historia życia moich pradziadków, dziadków i moja.

